

## Coś z niczego, czyli pierwsza Polska droga bigwall w Aladaglar w południowo-wschodniej Turcji.

Tekst: Borysław Szybiński

Wyjeżdżamy z Krakowa 8 września w niedzielę wieczorem. Toyota Corolla potężnie doładowana - wiertara, spity, akumulatory, kupa szpeju, prawie kilometr lin... To wszystko musi ważyć swoje. Jeszcze tylko upychamy bułki na drogę i ruszamy, do Azji mamy kawałek. Jesteśmy w trójkę: ja, Jacek Studencki i Marek Cincio.

Zaraz za granicą stówka mandatu od pepika za prędkość 50 km/h - czyli wszystko w normie. Potem, przez następnych 48 godzin żadnych atrakcji, paliwko, kawka, papu, kima i za kółko. Nie ma czasu, w górach idzie zima. Pozwiedzamy w drodze powrotnej. Po przeszło dwóch dobach jazdy nonstop docieramy do celu.



*Okolice Aladaglar (fot. B. Szybiński)*

Na miejscu spotykamy się z mieszkającym w pobliżu wspinaczem, gość zowie się Recep, jest właścicielem miejscowego kempingu. Szybko okazuje się, że na skutek porozumienia lokalnych alpinistów zostało zabronione spitowanie na ścianach szczytu Demirkazik, który był naszym pierwotnym celem. Porozumienie to weszło w życie całkiem niedawno, więc nic dziwnego, że w Polsce o tym nie słyszeliśmy. Na szczęście na innych ścianach jest jeszcze całkiem sporo ciekawych, wolnych linii. Nie tracimy czasu i kolejnych parę dni spędzamy na

poszukiwaniach tej najpiękniejszej, trudnej i najbardziej nam odpowiadającej. Wybór dosyć szybko pada na zupełnie dziewiczą, groźną, północną ścianę szczytu Büyük Mangirci (2700 m.n.p.m.). Planujemy wytyczyć linię zbliżoną do direttissimi. Ciężko nam nawet początkowo określić jak długi będzie nasz projekt, ponieważ na ścianie nie ma jeszcze żadnej drogi.



*Büyük Mangirci (fot. M. Cincio)*

Góry Aladaglar są dzikie, bardzo suche, woda dostępna jest tylko w dolnych partiach dolin. Zakładamy bazę niedaleko obozowiska miejscowego pasterza u wylotu doliny Mangirci. Ponieważ pasmo Aladaglar nie jest bardzo uczęszczane przez turystów i wspinaczy, w góry można bez ograniczeń wjeżdżać autem. Do naszej bazy prowadzi kilkunastokilometrowa szutrowa droga, stąd mamy jeszcze godzinę podejścia pod ścianę. Nie tak daleko.

Niby nie tak daleko, ale sprzętu do zanieśienia jest sporo, więc trochę marudzimy zanim zarzucimy wory na plecy. Podchodzimy długo, często się zatrzymujemy i dyskutujemy nad dokładnym przebiegiem linii.

W końcu docieramy do podstawy ściany, przeszpejamy się i atakujemy. Pierwszego dnia działałam ja. Nie czuję się zbyt pewnie z tonami żelastwa na sobie. Kiedy to ostatni raz wisiało się na skyhook'u? Chyba ze dwa lata temu. Zresztą stojąc pod ścianą zawsze czuję respekt, a teraz tym bardziej, mamy w końcu wytyczyć nową drogę na dziewiczej ścianie. Na dodatek początek trochę kruchy, niedobrze, zastanawiamy się, czy się nie wycofać i nie zacząć w innym miejscu. Długo szukam sensownej linii ale na szczęście w końcu udaje mi się poprowadzić całkiem

fachowy wyciąg omijający kruche fragmenty.

Następnego dnia działa Cincio ze Studentem, ja odpoczywam w bazie. Po powrocie chłopaki miny mają nietęgą, znowu to się rusza, tamto też się rusza... Nic, wyżej wygląda dobrze, będziemy musieli trochę poczyścić.

Kolejny wyciąg, objany przez Studenta, to już bajka. Super lita, trudna płyta, na pewno siódemkowa. Gość trzyma pierwszy raz wiertarkę w ręce, staż wspinania też nie największy, zobaczymy co to będzie. O dziwo daje radę, klnie, marudzi, ale wierci, napiera do przodu.

Po trzecim wyciągu duża póża i dalej przewieszona ściana, teraz moja kolej i znowu ten sam problem - krucho. Cały dzień marnuję na próbę przedarcia się przez dziesięciometrowy pas kruchej skały, ponad którą wspinanie wygląda naprawdę super - przewieszenia, zacięcia zakończone okapami. Do tego wydaje się, że to wszystko mogłoby być puścić... Poezja. Wspinam się, zjeżdżam kawałek, w prawo, w lewo, a może tam, a może tu... Nic z tego, zostają ciągle pieprzone trzy metry przewieszonego rzęchu, jak w Himalajach 50 metrów od szczytu. Muszę się tam dostać!

Halo, chłopie ochłoń trochę, bo zaraz zlecisz z jakimś telewizorem prosto Cintkowi na łeb i tyle z tego będzie. Ok, pasuję, trzeba uderzyć w innym miejscu, nie będzie cudnych okapów. Zwijamy zabawki i zjeżdżamy na dół, humory mamy średnie.

Następne dni to mozolne wydzieranie kolejnych metrów trudnej technicznie ściany, przedzielane restami oraz przymusowymi przestojami w dni deszczowe, których w miarę upływu czasu jest coraz więcej. Cykl działania jest trzydniowy - asekuracja, objanie, dzień odpoczynku, każdy po kolei. Wspinanie jest bardzo ciekawe i różnorodne - płyty, rysy, okapiki, zacięcia. Po feralnym wyciągu nad póżą skała aż do szczytu jest bardzo dobrej jakości. Niestety dość ostra, zupełnie jak na Barracudzie, którą poprowadziłem z Elizą Kubarską i Davidem Kaszlikowskim dwa lata wcześniej.

Drugiego października kończymy objać drogę. Efektem naszego działania jest 8 wyciągów - 400 metrów trudnego wspinania. Cała linia jest asekurowana spitami, jednak nie jest to pełna asekuracja. W łatwiejszym terenie runouty mają nawet do 8 metrów długości. Stanowiska zrobiliśmy z dwóch spitów oraz kolucha zjazdowego.

Po dwudniowym odpoczynku planujemy atak od dołu, ale rano oczywiście leje, luzik, można pospać. To znaczy ja i Student śpimy spokojnie, natomiast Cincio zdecydował się zostać prawdopodobnie pierwszym w historii alpinizmu pogromcą wielkiej ściany nie używającym namiotu, w razie deszczu zmykał do auta.

Tego samego dnia przed południem wychodzi słońce, więc postanawiamy uderzyć. Ile urobimy, tyle nasze, zwłaszcza, że i tak mamy zostawione poręczówki, ponieważ planujemy robić zdjęcia i kręcić film. Ewentualnie po uklasycznieniu wszystkich wyciągów, naprzemy od dołu na całość. Do wieczora udało się zrobić pierwsze trzy wyciągi, wspinanie super, fajna, logiczna linia. Trzeci wyciąg rzeczywiście okazał się trudny - około 7b .



*Małpowanie (fot. B. Szybiński)*

Następnego dnia pobudka niby o świcie, ale się rozwleka, wszyscy zmęczeni, niewyspani. Śniadanie, papierosy, kawka, w rezultacie jesteście w ścianie trochę późno. Małpujemy odcinek, który wczoraj przewspinaliśmy. Teraz kolej na wyciąg obity przeze mnie. Wiem, że jest tam bardzo parametryczny crux. Ustalamy, że spróbuje Student, który ma zdecydowanie największy zasięg. Dostyc szybko dochodzi do najtrudniejszego miejsca, walczy, napina się i... uff, daje radę. Ruch jest naprawdę długi i na dodatek od odciążenia do odciążenia, nie da się po prostu skoczyć. Problemem pozostała tylko wycena dla normalnego człowieka (Student ma 2 metry), ostatecznie zostaje 7b.



*Student na piątym wyciągu – 7b (fot. B. Szybiński)*

Kolejny wyciąg obijał Cincio, więc on atakuje. Miało być łatwo, ale szybko okazuje się, że wcale nie jest. Cincio cały sezon walczył z kontuzjami i kominami, więc siłą rzeczy nie jest w najlepszej formie, poległ gdzieś w połowie. Studentowi udaje się wydrzeć jeszcze parę metrów więcej, ale w końcu też spada. No, to teraz ja. W zasadzie w ogóle nie nastawiałem się, że będę się wspinał, szybko wiązę buty i napieram. Pojawia się nerwowość, ruchy jakies nie te, brak swobody, ale grzeję do góry. Jest trudno, mocno zapinam, żeby na pewno nie spaść, skutecznie, ale nie fachowo, tracę dużo sił, tak nie powinno się w ogóle wspinać.



*Cincio na trzecim wyciągu – 6b+ (fot. J. Studencki)*

Zwracamy ze Studentem honor Cintkowi, bo wytykaliśmy mu, że strasznie marudził przy objaniu banalnego wyciągu. No no, runouty też niczego sobie, jednak to prawda, że spitowanie można trenować na kominach.

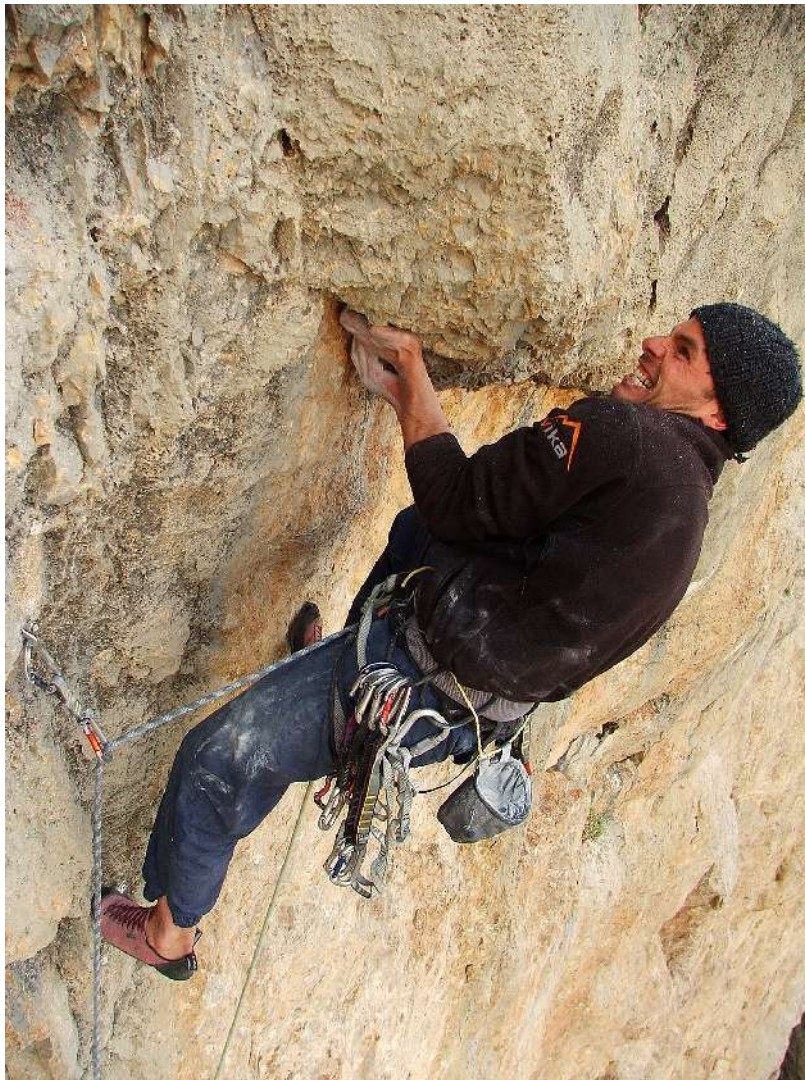
Następny wyciąg to moje dzieło, na pewno najtrudniejszy, zaczyna się okapikiem. Wbijam się, dygocąc trochę cały czas. Trzecia wpinka strasznie wybiera (sam ją wierciłem), walczę, walczę, dyszę, sapię, półdynamicznymi ruchami docieram jakoś do no hand rest, ale spruło mnie całkiem konkretnie. Teraz czekają mnie połogie płytki z mikro chwytami. Wiem, że jest przede mną jeszcze jedno trudne miejsce, prawdopodobnie najtrudniejsze na całej drodze, więc sobie porządnie restuję. Restuję i restuję, jeszcze bym postął chwilę ale trzeba przez dalej, nie ma czasu.

Zaczynam skradać się powoli po chwytach i stopieńkach, idzie w miarę gładko, aż w końcu dochodzę do cruxa cruxów. Pierwsza przymiarka, tak żeby tylko pomacać chwyt,

przypomnieć sobie o co chodzi. Jak ja to robiłem przy objaniu? Dokładnie nie pamiętam, nie mogę się dobrze wstawić, brak stopnia na lewą nogę, kurewsko krzywo, może jak próbowałem z wiertarką to stanąłem na spicie? A może jednak nie... zresztą nieważne. Skoncentruj się i napieraj!

Wycofuję się, żeby trochę odpocząć ale nie jest to jakiś perfekcyjny rest. Druga próba i znowu się motam, nie mogę znaleźć sekwencji... I tak jeszcze kilka razy. Dobra, dobra albo wóz albo przewóz, nie ma co kombinować za dużo bo tylko mecze się coraz bardziej. Trza po prostu konkretnie strzelić do ścisko-klamki i tyle.

Wstawiam się w tą krzywą, niewygodną, jedyną możliwą pozycję, dyszę, sapię, widzę ścisko-klamkę, znam ją, pamiętam z objania, wiedziałem, że muszę dziwkę dobrze zapamiętać. Cisza, nie ma nic dookoła, jedyne co widzę, jedyne co jest to ścisko-klamka, jest daleko, za daleko... cisza się wydłuża, zastygam, czas stoi w miejscu... I w końcu jest. Gdzieś tam pod czachą łączą się obwody, przez ułamek sekundy wierzę, widzę to! BACH! Teraz wszystko dzieje się już samo, ja tylko patrzę z boku - palce zaciskają się na kłamce, z gardła wydobywa się dziki wrzask. Łeeeeee! Udało się, wracam do rzeczywistości, gęba się cieszy, przywalczyłem.



*Boro na szóstym wyciągu – 7c (fot M. Cincio)*

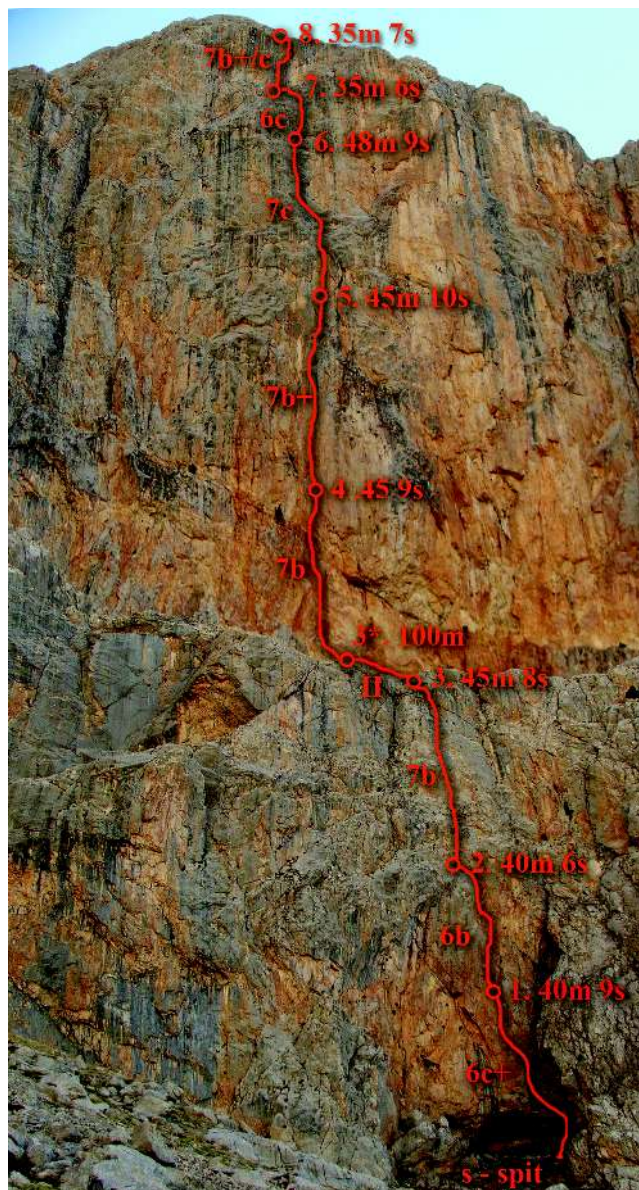
Wspinamy się dalej, mamy szansę skończyć przed zmierzchem. Niestety na przedostatnim wyciągu Student zwała się z jakimś stopniem tuż przy stanowisku, co praktycznie przekreśla nasze szanse na skończenie drogi tego dnia. Ale próbujemy, jest przecież totalnie blisko. Kiedy wiąże się jest już szaro, zimno, nie więcej niż 10 stopni. Wbijam się, chociaż chyba wszyscy wiedzą, że to bez sensu. W cruxie już naprawdę niewiele widzę, muszę się poddać. Nie dało się, zabrakło dosłownie 15 minut. Trzeba będzie wrócić jutro.



*Student na topie fot. (M. Cincio)*

Ostatni wyciąg *Creatio ex Nihilo* udało się poprowadzić następnego dnia. Trochę czasu i wysiłku zabrało nam jeszcze zwiezenie całego szpeju ze ściany i przetransportowanie wszystkiego z powrotem do bazy. W dolinie zostaliśmy jeszcze jeden dzień żeby spokojnie pożegnać się z Aladaglar, zapakowaliśmy dzielną Toyotę i ruszyliśmy w drogę powrotną do Polski.





*Creatio ex Nihilo – 400 m. 7c max, 7b obligatoryjne*

Serdecznie dziękujemy Polskiemu Związkowi Alpinizmu za wsparcie finansowe, oraz firmom: Polar Sport, Lanex, Lhotse.

